

JAMES ROLLINS

REBECCA CANTRELL



DIABELSKA KREW

Trzecia część cyklu **ZAKON SANGWINISTÓW**

Lato 1606 roku
Praga, Czechy

Wreszcie prawie się spełniło...

Angielski alchemik John Dee stał w swoim ukrytym laboratorium przed olbrzymim kloszem z nieskazitelnie przejrzystego szkła. Naczynie było tak wysokie, że mógł się w nim wyprostować dorosły mężczyzna. To cudowne dzieło wyszło spod ręki cenionego szklarza z dalekiej wyspy Murano nieopodal Wenecji. Przez ponad rok rzemieślnicy, korzystając z wielkich miechów i metod znanych jedynie garstce mistrzów, obracali i rozdmuchiwali kolosalną kroplę roztopionego szkła, by uformować z niej istny obraz doskonałości. Następných pięć miesięcy zajęło przewiezienie drogocennego klosza z wyspy, na której powstał, do przesiąkniętego chłodem dworu Świętego Cesarza Rudolfa II na dalekiej północy. A gdy dotarł na miejsce, cesarz rozkazał zbudować wokół niego sekretne laboratorium alchemiczne pod ulicami Pragi, otoczone szeregiem warsztatów pomocniczych.

Minęło długich dziesięć lat...

Klosz spoczywał teraz na okrągłym postumencie w rogu głównej pracowni. Krawędzie podestu dawno zaczerwieńiła rdza. W dolnej części klosza tkwił okrągły właz, także ze szkła, od zewnątrz

szczelnie przytwierdzony mocnymi sztabami, aby powietrze nie mogło dostawać się do środka ani z niego uciekać.

John Dee zadrżał. Czuł ulgę na myśl o dokończeniu zadania, lecz zarazem się tego lękał. Zrodziła się w nim nienawiść do piekielnego narzędzia, zdawał sobie sprawę, w jakim celu je wykonano. Ostatnio unikał klosza, na ile tylko mógł. Całymi dniami krzątał się po laboratorium w długiej tunicy poplamionej chemikaliami, z białą brodą, która prawie wpadała do retort, odwracając zażawione oczy od szklanej powierzchni pokrytej kurzem.

Moje zadanie jest niemal ukończone, pomyślał.

Podszedł do kominka i sięgnął ręką do gzymsu. Sękatymi palcami otworzył misterny zamek małej komory wykutej w marmurze. Tylko on i cesarz wiedzieli o jej istnieniu.

W tej samej chwili rozległo się gorączkowe stukanie. Odwrócił się w stronę klosza i stworzenia uwięzionego w jego wnętrzu. Bestię schwyтали wierni słudzy cesarza i przywlekli tutaj przed zaledwie kilkoma godzinami.

Muszę się spieszyć.

Szkaradna bestia waliła cielskiem o ścianę klosza, jakby przeczuwając to, co nadchodzi. Nawet nadnaturalna siła nie pomogła jej jednak wyrwać się z potrzasku. Próbowaly tego nadaremnie stworzenia starsze i znacznie mocniejsze.

W ciągu kilku lat John uwięził w szklanym kloszu wiele takich istot.

Bardzo wiele...

Wiedział, że nic mu nie grozi, lecz wątle serce alchemika i tak trzepotało; zwierzęca część jego natury wyczuwała niebezpieczeństwo w sposób niezgłębiony dla logicznie działającego umysłu.

Z urywanym westchnieniem wsunął rękę do sekretnego schowka i wyjął z niego przedmiot owinięty w nasączoną tłuszczem tkaninę.

Drogocenny obiekt zawiązany był szkarłatnym sznurem i umieszczony w woskowanej kopercie. Ostrożnie przyciskając zawiniątko do piersi, by nie naruszyć woskowego opakowania, John zaniósł je do zasłoniętego okna. Nawet tkanina i wosk nie zdołały powstrzymać budzącego trwogę chłodu, którym emanował przedmiot; palce i żebra alchemika spowiło odrętwiające zimno.

Rozsunął nieco grube kotary, wpuszczając snop porannego słońca. Drżącymi dłońmi umieścił zawiniątko w strumieniu światła na kamiennym blacie stołu i stanął tak, by ani odrobina cienia nie padła na powierzchnię obiektu. Wyjął zza paska ostry nóż rzeźnicki, przeciął nasączoną tłuszczem tkaninę i szkarłatny sznur. Z wielką pieczołowitością zdjął tłustą tkaninę i położył na stole.

Promienie pierwszego brzasku dnia padły na to, co kryło się w zawiniątku: klejnot niezwyklej urody, wielki jak męska dłoń, połyskujący szmaragdową zielenią.

To jednak nie był szmaragd.

– Diament – wyszeptał alchemik.

W komnacie ponownie zapanowała cisza, stwór uwięziony w wielkim kloszu wzdrygnął się i cofnął przed blaskiem przedmiotu jaśniejącym na stole. Gdy promienie wypływające z klejnotu rysowały szmaragdowe żyłki na otynkowanych ścianach, ślepią bestii ciskały spojrzenia to tu, to tam.

John nie zwracał uwagi na jej strach; patrzył w sam środek diamentu, na kłębiącą się w nim powoli smugę atramentowej czerni. Snuła się niczym strumień dymu i oliwy – żywa istota zamknięta w klejnocie, tak jak stwór we wnętrzu szklanego klosza.

Dzięki Bogu.

Alchemik dotknął palcem lodowatego kamienia. Według legendy wydobyto go z głębokiego pokładu kopalni na Dalekim Wschodzie. Jak wszystkie wielkie klejnoty, tak i ten ponoć był naznaczony klątwą. Zabijano się, by go posiąść, a ci, w których ręce wpadł, wkrótce potem ginęli. Mniejsze diamenty wydobyte z tej samej

żyły przyozdobiły korony władców odległych państw, ten jednak nie został wykorzystany do zaspokojenia ludzkiej próżności.

John ostrożnie uniósł zielony diament. Dziesiątki lat minęły od dnia, w którym kazał go wydrążyć. Dwaj jubilerzy tracili wzrok, żłobiąc wąziutkimi wiertłami o diamentowych ostrzach maleńką komorę w przepysznym zielonym sercu drogocennego klejnotu. Jako zatyczka posłużył cieniutki, niemal przezroczysty odprysk kości przywiezionej ponad tysiąc lat temu z grobowca w Jerozolimie. Kość ta była ostatnim nietkniętym fragmentem ciała Jezusa Chrystusa.

Tak w każdym razie twierdzono.

Alchemik zakasłał i jego usta wypełnił metaliczny posmak krwi; splunął do drewnianego cebra, który trzymał obok stołu. Choroba trawiąca go od środka pozostawiała mu ostatnimi czasy niewiele spokoju. Walczył o oddech, nie wiedząc, czy nie będzie on ostatnim. Płuca w jego piersi rzeziły jak pęknięty miech.

Wzdrygnął się na stłumione pukanie do drzwi, kamień wysunął mu się z palców i poleciał na drewnianą podłogę. John z okrzykiem rzucił się po drogocenny przedmiot.

Kamień spadł na deski, ale nie pękł.

Ból przebiegł od serca do lewego ramienia alchemika. John oparł się o grubą nogę stołu. Po podłodze roz płynęła się strużka żółtawej cieczy. Z brzegu rozpostartej niedźwiedziej skóry wzniosł się dym.

– Panie Dee! – rozległ się młody głos z drugiej strony drzwi. – Jest pan ranny?

Stuknął zamek i drzwi się otworzyły.

– Waćlawie... – wykrztusił z wysiłkiem John. – Nie zbliżaj się. Jednakże młodzian już wpadł do środka, spiesząc na pomoc swemu panu. Dźwignął go z podłogi.

– Czy to choroba?

Dolegliwości Johna nie byli w stanie zaradzić nawet

najpotężniejsi alchemicy na dworze cesarza Rudolfa. Łapał oddech, pozwalając się chłopcu podtrzymywać; wreszcie kaszel się uspokoił, ale ostry ból w piersi, zwykle ustępujący, tym razem nie puścił.

Młody czeladnik delikatnie dotknął palcami spoconego czoła swego mistrza.

– Nie spał pan dzisiejszej nocy. Rano zobaczyłem, że łóżko jest nietknięte. Przyszedłem sprawdzić... – Zamilkł i zerknął w kierunku szklanego klosza. Widok uwięzionego w nim stworzenia nie był przeznaczony dla młodych niewinnych oczu.

Z warg Wacława wyrwało się westchnienie zdumienia i lęku.

Bestia także na niego patrzyła – wygłodniałym wzrokiem, opierając dłoń na szkle i je drapiąc. Od kilku dni nie dostała strawy.

Spojrzenie młodzieńca objęło nagie ciało kobiety. Falujące jasne włosy spadały za jej ramiona i na obnażone piersi. Była nieomal piękna. Jednakże w mdłym blasku wpadającym przez grube szkło jej śnieżnobiała skóra przybrała zielonkawy odcień, jak gdyby zaczął się już rozkład.

Oczy Wacława zwróciły się na alchemika.

– Panie?

Młody czeladnik przyszedł do niego na służbę jako ośmioletni chłopiec o bystrym umyśle. John widział, jak przeobraża się w młodego mężczyznę, przed którym otwiera się jasna przyszłość, zręcznego w mieszaniu wywarów i destylowaniu olejów.

Kochał go jak własnego syna.

Mimo to bez wahania uniósł ostry nóż i rozplatał gardło czeladnika.

Wacław złapał się za ranę, patrząc z niedowierzaniem na mistrza, który go zdradził. Krew wypływała spomiędzy jego palców i rozbryzgiwała się po podłodze. Opadł na kolana, obiema rękami usiłując zatamować życiodajny płyn.

Zamknięty w kloszu twór uderzył cielskiem o ścianę z taką siłą, że zachwiał się ciężki żelazny postument.

Poczułaś krew? Czy to cię tak podnieca?

John schylił się i podniósł z podłogi zielony kamień. Uniósł go, by sprawdzić szczelność zatyczki. Ciemność przesuwawała się w środku, jakby poszukiwała szczeliny, lecz jej nie było. Alchemik uczynił znak krzyża i wyszeptał modlitwę dziękczynną – diament pozostał nietknięty.

Umieścił kamień w blasku słońca, przyklęknął obok Wacława i odgarnął włosy z jego twarzy.

Blade wargi chłopca poruszyły się, w jego gardle zagulgotało.

– Wybacz – szepnął John.

Usta młodego mężczyzny ułożyły się w jedno słowo:

Dlaczego?

John nie mógł mu tego wytłumaczyć i nigdy nie zdoła odpokutować za to morderstwo. Dotknął policzka czeladnika.

– Żałuję, że twoje oczy to ujrzały. Chciałbym, abyś żył długo i mógł prowadzić dalej badania. Ale nie taka była wola Boga.

Skrwawione palce Wacława zsunęły się z gardła, śmierć zeszkliła jego oczy. John dwoma palcami zamknął mu powieki. Pochylił głowę i odmówił krótką modlitwę za jego duszę. Chłopiec był niewinny i znalazł spoczynek w lepszym świecie. Mimo wszystko była to tragiczna strata.

Stworzenie uwiecznione w szklanym kloszu – potwór, który był kiedyś człowiekiem – spojrzało mu w oczy. Potem jego wzrok powędrował na ciało Wacława i znów skierował się na twarz alchemika. Musiało wyczuć jego ból, bo po raz pierwszy od dnia, w którym zostało mu dostarczone, uśmiechnęło się, z radości obnażając długie białe kły.

John podźwignął się z wysiłkiem. Ból w sercu nie ustępował. Trzeba czym prędzej doprowadzić dzieło do końca.

Dowlóknął się do drzwi, które otworzył czeladnik, i zaryglował je. Jedyny zapasowy klucz do komnaty spoczywał na podłodze w kałuży stygnącej krwi Wacława. Nikt więcej nie zakłóci pracy

alchemika.

Przesunął palcem po szklanej rurce biegnącej od klosza do stołu. Obejrzał ją uważnie na całej długości, sprawdzając, czy nie pojawiły się skazy lub pęknięcia.

Zbyt blisko jestem celu, by pozwolić sobie na błąd.

Rurka zwężała się i przy samym końcu miała zaledwie wąziutki prześwit, niewiele większy od ucha igły; była dziełem rzemieślnika u szczytu jego możliwości. John rozsunął grubą zasłonę i promień porannego słońca padł na końcówkę szklanej rurki.

Ból w piersi narastał, lewe ramię znieruchomiało przy boku. Potrzebował całej swojej siły, ona zaś błyskawicznie go opuszczała.

Drżącą prawą ręką ujął kamień. Klejnot błyszczał w słońcu, olśniewający i śmiercionośny. Alchemik zacisnął usta, walcząc z zawrotami głowy, i małymi srebrnymi szczypcami wyciągnął z kamienia drzazgę kości.

Kolana mu drżały, lecz zagryzł zęby. Zatyczka została wyjęta, musiał więc trzymać kamień w blasku słońca. Nawet przelotny cień uwolniłby zawartą w nim smolistą ciemność, pozwolił jej wydostać się na świat.

Do tego nie wolno dopuścić... jeszcze nie teraz.

Ciemność spłaszczyła się i wspięła po ścianie swojego małego więzienia ku wąziutkiemu otworowi, tam jednak zatrzymała się, najwyraźniej z trwogi przed światłem. Zła moc musiała jakoś wyczuć, że nieprzefiltrowany blask słońca zdolny jest ją uśmiercić. Jedynym jej schronieniem pozostawało zielone serce diamentu.

Pomału, z największą pieczołowitością, John przytknął wąziutki otwór wycięty w diamencie do końcówki szklanej rurki. Blask słońca padał na jedno i drugie.

Alchemik wziął ze stołu migającą płomieniem świecę i umieścił nad diamentem, tak by wosk skapywał na klejnot w miejscu, gdzie była do niego przytknięta rurka, i tworzył nieprzepuszczającą powietrza powłokę. Dopiero wtedy John zaciągnął kotarę i pozwolił,

by mrok spowił zielony kamień.

Blask świecy padał na wciąż poruszający się wewnątrz diamentu ciemny kształt, który wił się i piał po ściankach w kierunku otworu. John wstrzymał oddech, patrząc, jak ciemność dociera do rurki, zatrzymuje się, jakby badała szczelność woskowej pieczęci, i dopiero gdy zobaczyła, że nie zdoła przedostać się do laboratorium, zaczęła sunąć szklaną rurką. Nieubłagane zbliżała się do jej końca – miejsca, w którym rurka stykała się ze szklanym kloszem z uwięzioną w nim kobietą.

John pokręcił posiwiałą głową. Bestia – niegdyś istota ludzka – nie była już kobietą. Nie wolno mu widzieć w niej człowieka. Uspokoila się i stała nieruchomo pośrodku klosza. Przyglądała się Johnowi lśniącymi niebieskimi oczami.

Jej skóra lśniła alabastrową bielą, włosy były jak złote nitki; jedno i drugie miało za sprawą grubej szklanej ściany klosza wodnistozielonkawe zabarwienie. Mimo to była najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Położyła na szkłe jedną dłoń. Blask świecy zatańczył na cudownej urody długich palcach.

Alchemik przemierzył pomieszczenie i przyłożył rękę na kloszu. Poczłł chłód szkła. Nawet gdyby nie ból i biorąca go we władanie słabość ciała, od początku wiedział, że ona będzie jego ostatnią. Była sześćset sześćdziesiątym szóstym stworzeniem, które stanęło wewnątrz szklanej trumny. Jej śmierć przypieczętuje koniec jego dzieła.

Jej usta ułożyły się w jedno słowo, to samo, które niemymi wargami wypowiedział Wacław.

Dlaczego?

John nie umiał jej tego wytłumaczyć, tak jak nie mógł udzielić odpowiedzi zabitemu czeladnikowi.

Spojrzenie jej oczu powędrowało ku ciemnemu kształtowi pełznącemu w stronę jej więzienia.

Podobnie jak poprzednicy uniosła dłoń w kierunku plugawej

mgły, która wślizgiwała się do wnętrza szklanego klosza. Usta poruszyły się, twarz zastygła w bezruchu.

W pierwszych latach swojej służby John zawsze ze wstydem patrzył na ciemną komunię dokonującą się w odosobnieniu, lecz już od dawna go nie odczuwał. Oparł się o szklaną ścianę, by być jak najbliżej. Nawet ból w klatce piersiowej ustąpił.

Czarny dym skupił się pod sklepieniem szklanego klosza i drobniutkie niczym mgiełka kropelki zaczęły spadać na tę, która była w środku. Wilgoć płynęła po jej białych palcach i wyciągniętych ramionach. Odrzuciła głowę w tył i krzyknęła. Nie musiał słyszeć tego krzyku, by rozpoznać jej ekstazę. Uniosła się na palcach, wysuwając piersi i drżąc pod dotykiem kropli pieszczących każdą część jej ciała.

Zadrżała ostatni raz i osunęła się bez życia obok ściany klosza.

Mgiełka zawisała nad nią w oczekiwaniu.

Spełniło się.

Alchemik odsunął się od klosza. Przekroczył zwłoki Wacława i szybko zbliżył się do okna. Szarpnięciem rozsunał szeroko zasłonę, by promienie porannego słońca ucałowały ścianę ze szkła. Plugawe ścierwo dziewczyny zapłonęło płomieniem, dym zasilił trwającą w oczekiwaniu mgiełkę.

Czarny obłok, wzmocniony nieczystą esencją bestii, czmychnął przed słonecznym blaskiem i skierował się do jedynej drogi ucieczki: szklanej rurki prowadzącej do małej komory wydrążonej w diamencie. Za pomocą odbłasku srebrnego lusterka alchemik zaganiał plugawy obłok do szmaragdowozielonego serca diamentu, ostatniej kryjówki, która pozostała mu w świecie zalanym blaskiem słońca.

Czerń wróciła do swojej pułapki. John ostrożnie przerwał woskową pieczęć i oderwał diament od rurki. Trzymając wążutki otwór wystawiony na słoneczny blask, przeniósł kamień na pentagram, który dawno temu nakreślił na podłodze. Umieścił

diamant na jego środku, wciąż uważając, by oświeślały go promienie słońca.

Jestem tak blisko, tak blisko...

Przez cały czas wypowiadając słowa modlitwy, pieczołowicie usypał wokół pentagramu okrąg z soli. Jego życie dobiegało kresu, lecz oto wreszcie ziści się marzenie, które owo życie wypełniało.

Otworzy bramę do świata aniołów.

Ponad sześćset razy kreślił ten sam krąg, ponad sześćset razy szeptał te same modlitwy. W głębi serca wiedział jednak, że tym razem będzie inaczej. Przywołał na pamięć wersy Apokalipsy: *Tu jest mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć**.

– Sześćset sześćdziesiąt sześć – powtórzył John.

Tyle stworów uwięził w kloszu, tyleż szczęło w płomieniach, a ich dymna esencja zgromadziła się w diamencie. Trzeba było dziesięciu lat na znalezienie ich i uwięzienie, i na unicestwienie złowrogiej siły, która ożywiała te przeklęte istoty. Teraz ich zebrana energia otworzy bramę prowadzącą do świata aniołów.

Zakrył twarz dłońmi, jego ciało się trzęsło. Tak wiele było pytań, które pragnął zadać aniołom. Od czasów opisanych w Księdze Enocha ani jeden nie zstąpił do człowieka bez rozkazu Boga. Od tamtej pory nie udzieliły ludziom swojej mądrości.

A ja ściągnę ich światło na ziemię i podzielę się nim z całym ludzkim plemieniem.

Podszedł do kominka i zapalił długą drzazgę. Obszedł z nią krąg, zapalając pięć świec umieszczonych w narożnikach pentagramu. Żółte płomyki świeciły słabo i blado w blasku słońca, drżały od poddmuchu wpadającego przez okno.

Alchemik zaciągnął kotary i komnatę zalała ciemność.

Szybkim krokiem zbliżył się do okręgu z soli i uklęknął.

* Apokalipsa wg św. Jana 13,18.

Z wąziutkiego otworu w diamencie wypłynęła smuga atramentowego dymu, poruszając się niepewnie – być może wyczuwała, że za oknem panuje jasność nowego dnia. Nagle ośmielona wystrzeliła w kierunku Johna, jakby chciała go porwać i odplacić mu za długie więzienie. Jednakże krąg soli ją powstrzymał.

Nie zważając na zagrożenie, alchemik syczącym głosem wypowiadał słowa w języku Enocha, dawno zapomnianym przez ludzkość.

– Nakazuję ci, Władco Ciemności, ukaż mi światło, które jest przeciwieństwem twojej domeny cieni.

Czarny obłok wewnątrz kręgu zadrżał raz i drugi, powiększając się i kurcząc niczym bijące serce. Jego wielkość rosła z każdym uderzeniem.

John złożył ręce.

– Ochroń mnie, Panie, patrzę bowiem na splendor twojego dzieła.

Ciemność ułożyła się w owalny kształt, tak duży, że mógł przez niego przejść dorosły mężczyzna.

Uszy Johna muskały szeptane słowa.

PÓJDŹ DO MNIE...

Głos dobiegał od portalu.

BĄDŹ MOIM SŁUGĄ...

John wziął świecę leżącą obok kolana i zapalił knot od jednej z tych, które umieścił w kątach pentagramu. Uniósł ją i zaczął przyzywać boską ochronę.

Rozległ się nowy odgłos. Coś przemieściło się po drugiej stronie portalu; towarzyszył temu donośny szczęk metalu uderzającego o metal.

Znów dały się słyszeć słowa; niczym robaki przedostawały się do umysłu alchemika.

SPOŚRÓD WSZYSTKICH ŚMIERTELNIKÓW TY JEDEN

JESTEŚ GODZIEN.

Wstał i zrobił krok w stronę kręgu, ale jego stopa zawadziła o wyciągniętą dłoń Wacława. Zatrzymał się, bo nagle poczuł, że jest niegodny, by oglądać tak wielką chwałę.

Odebrałem życie niewinnemu.

Nieme wyznanie zostało usłyszane.

WIELKOŚĆ MA SWOJĄ CENĘ. NIEWIELU GOTOWYCH
JEST JĄ ZAPŁACIĆ. NIE JESTEŚ TACY JAK INNI, JOHNIE DEE.

Alchemik zadrżał na dźwięk dwóch ostatnich słów.

Zna moje imię i nazwisko, anioł je wypowiedział.

Chwiał się targany dumą i lękiem, komnata wirowała w jego oczach, jakby był pijany. Świeca wypadła mu z rąk. Zapalona wtoczyła się do okręgu i przez portal i jej światło wydobyło z mroku to, co znajdowało się po drugiej stronie.

Otworzył usta ze zdumienia na widok niewiarygodnego majestatu postaci zasiadającej na lśniącem tronie z kości słoniowej. Blask świec migotał w smoliście czarnych oczach w surowo pięknej twarzy jakby wykutej z onyksu. Nad tym cudownym obliczem spoczywała złamana korona ze srebra o poczerniałej powierzchni; jej poszarpane krawędzie przypominały rogi. Zza ramion wznosiły się mocarne skrzydła, ich pióra były ciemne i połyskliwe jak pióra kruk.

Postać przesunęła się w przód, poruszając szerniałe srebrne łańcuchy, które krępowały nieskazitelnie piękną sylwetkę, wiążąc ją z tronem.

John wiedział już, na kogo patrzy.

– Nie jesteś aniołem – szepnął.

JESTEM... ZAWSZE BYŁEM.

Gładko brzmiący głos wypełnił głowę alchemika, choć wargi postaci spoczywającej na tronie nie drgnęły.

TWOJE SŁOWA MNIE WEZWAŁY. KIMŻE INNYM
MÓGŁBYM BYĆ?

Niepewność poruszyła sercem Johna, ból się wzmógł. Popęnił błąd. Ciemność nie może przywołać światła – przywołała ciemność i tylko ciemność.

Z przerażeniem zobaczył, że ogniwo łańcucha odrywa się od postaci. Pęknięty metal zaśnił czystym srebrem. Postać zaczynała się oswobadzać.

Widok ten wyrwał alchemika z transu. Odsunął się od kręgu i zatoczył w kierunku okna. Nie wolno dopuścić, by ten, który mieszka w ciemności, wydostał się na świat.

STÓJ!

Ten rozkaz wbił się w głowę Johna Dee niczym ognista włócznia bólu. Alchemik nie mógł myśleć, ledwie zdołał się poruszać, lecz siłą woli parł dalej. Palcami zakrzywionymi jak szpony chwycił grubą kotarę i szarpnął całą nadwątłą siłą ramienia.

Aksamitny materiał pękł.

Blask słońca zalał komnatę, padł na szklany klosz, stół, krąg z soli i wreszcie ciemny portal. Przeszywający wrzask wypełnił głowę alchemika, tak żeomal nie pękła.

John Dee osunął się na podłogę; zobaczył jeszcze, jak obłok ciemności pierzcha przed słonecznym światłem i chroni się do swojej kryjówki w klejnocie. Odchodząc z tego świata, wyszeptał ostatnią modlitwę.

Oby nikt więcej nie znalazł tego przekłętego kamienia...

W południe gwardziści króla strzaskali taranem drzwi laboratorium. Padli na kolana, gdy obok przechodził sam władca.

– Nie unoście twarzy znad ziemi – rozkazał.

Usłuchali bez słowa.

Cesarz Rudolf II minął ich rozciągnięte na ziemi postacie i wszedł do komnaty. Objął wzrokiem pentagram, kałuże wosku i dwa martwe ciała na podłodze, alchemika i jego młodego

czeladnika.

Rudolf wiedział, co oznacza ich śmierć.

John Dee zawiódł jego nadzieje.

Nie rzuciwszy drugi raz okiem na zwłoki, wkroczył w mistyczny krąg i podniósł cenny diament. Czarny obłok zadrżał nienawistnie wewnątrz zielonego jak liść serca. Zimna wściekłość zionęła z kamienia, wnikać w umysł cesarza, lecz niczego więcej nie mogła dokazać. John Dee, niezależnie od innych swoich zamiarów, zdołał uwiecznić zło w głębi kamienia.

Trzymając jasny klejnot w blasku słońca, Rudolf zatkał otwór drzazgą kości, która leżała na rogu stołu, przejrzystą niczym śnieżny płatek, a mimo to niezmożoną. Zapalił świecę i przytwierdził kość do diamentu woskiem, który parzył mu palce.

To uczyniwszy, usiadł na wytartym krześle. Ostrożnymi ruchami zasłonił świetlicie zielony kamień i zawartą w nim ciemność świeżym skrawkiem tkaniny nasączonej tłuszczem. Następnie zawiązał paczuszkę i opuszczył ją do kociołka z ciepłym woskiem, który Dee trzymał zawsze w pobliżu kominka. Zanurzył całkowicie zawiniątko, by mieć pewność, że wosk oblał je ze wszystkich stron.

Zerknął na ludzi w korytarzu. Leżeli zgodnie z jego poleceniem, twarzami do podłogi. Przekonany, że nikt go nie widzi, otworzył sekretny schowek pod gzymsem kominka i wsunął do środka plugawy przedmiot. Wyszeptał krótką modlitwę w języku Enocha i dopiero wtedy zamknął tajne drzwiczki.

Zło było na razie ukryte.

Członki cesarza ogarnęło znużenie. Od dawna nie zaznał prawdziwego spoczynku, nie znajdzie go i dzisiaj. Z westchnieniem opadł na drewniane krzesło przy stole alchemika i wziął z bezładnej kupki skrawek pergaminu. Zanurzył pióro w srebrnym kałamarzu i zaczął pisać alfabetem Enocha. Niewielu znało tajniki tego języka.

Skończywszy, monarcha złożył papier dwukrotnie, zakleił czarnym rozgrzanym woskiem i odcisnął pieczęć ze swojego

pierścienia. Za godzinę zaufany goniec wyjedzie z wiadomością.

Cesarz szukał pomocy.

Potrzebował rady jedyne go człowieka, który równie głęboko jak Dee zanurzył się w świat aniołów światła i ciemności. Spoglądał na leżące na podłodze ciała i modlił się, by ta osoba zdołała odwrócić zło, które dokonało się w tym miejscu.

Uniósł napisany w pośpiechu list. Promienie słońca padły na czarne litery słynnego nazwiska.

Hrabina Elżbieta Batory na Ecsed

1

17 marca, 16.07

Watykan

Nie daj się złapać.

Świadomość zagrożenia napinała każdy mięsień w ciele doktor Erin Granger, która siedziała skulona za regałem katalogu w samym środku czytelni Biblioteki Watykańskiej. Białą powierzchnię łukowato sklepionego sufitu wysoko nad jej głową zdobiły misterne freski. Wokół ciągnęły się półki z najrzadszymi egzemplarzami książek, jakie istnieją na świecie. Biblioteka zawierała ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy rękopisów i ponad milion książek. W normalnych okolicznościach właśnie w takim miejscu Erin z radością spędzałaby dni i godziny, lecz ostatnimi czasy stało się ono bardziej więzieniem niż źródłem odkryć naukowych.

Dzisiaj muszę się wymknąć, pomyślała.

Nie była jedyną uczestniczką spisku. Jej współnik, ojciec Christian, stał z boku, wyraźnie widoczny, i ponaglał ją ukradkowymi ruchami dłoni. Wyglądał jak młody duchowny – wysoki z ciemnymi włosami i przenikliwie patrzącymi zielonymi oczami, miał wydatne kości policzkowe i nieskazitelną skórę. Łatwo było go wziąć za mężczyznę przed trzydziestką, podczas gdy w rzeczywistości miał o kilkadziesiąt lat więcej. Kiedyś był *strigoi*, potworem karmiącym się ludzką krwią. Jednakże dawno

temu wstąpił do katolickiego zakonu sangwinistów i ślubował, że będzie żył wiecznie, posilając się krwią Chrystusa. Był teraz sangwinistą, i to jednym z niewielu, których Erin bezwiednie darzyła zaufaniem.

Uwierzyła mu więc na słowo, kiedy wspomniał o nieznajomej, która stała obok niej.

Młoda zakonnica, siostra Margaret, kryła się wraz z nią za kontuarem. Oddychała ciężko, uwalniając się z habitu; welon już leżał na podłodze obok jej stóp. Erin widziała krople potu na jej czole świadczące o tym, że nie jest sangwinistką, i mogłaby przysiąc, że słyszy przyspieszone bicie serca zakonnicy. Serce Erin biło zapewne w podobnym tempie.

– Proszę – powiedziała Margaret; potrząsnęła długimi jasnymi włosami i spojrzała na nią ciemnymi oczami o barwie bursztynu. Była mniej więcej tego samego wzrostu co Erin i miała podobną karnację. Stanowiło to istotną część ich planu.

Czarna serża szorstko przesunęła się po policzkach Erin, kiedy ta wkładała przez głowę habit – sądząc po zapachu, niedawno wyprany. Lekkimi ruchami ciała poprawiła okrycie i nie zmieniając pozycji, wygładziła je na biodrach. Margaret pomogła jej nałożyć na głowę biały welon i zakryć nim jasne włosy; odgarnęła parę kosmyków.

Skończywszy, odsunęła się nieco i krytycznym spojrzeniem oceniła kamuflaż.

– I jak sądzisz? – spytał Christian półgębkiem, opierając się ramieniem o regał katalogu, by lepiej zamaskować poczynania kobiet.

Margaret z zadowoleniem skinęła głową. Erin wyglądała teraz jak zwyczajna zakonnica, praktycznie anonimowa w Watykanie, gdzie tylko turystów i księży było więcej niż siostr w habitach.

Na koniec nałożyła na szyję Erin czarny sznur z dużym srebrnym krucyfiksem i podała jej srebrny pierścień, jeszcze ciepły.

Ta wsunęła go na palec serdeczny i uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie nosiła na nim żadnej ozdoby.

Trzydzieści dwa lata i wciąż niezamężna.

Jej dawno zmarły ojciec byłby zatrwożony losem córki. W swoich kazaniach głosił gorliwie, że najwyższym obowiązkiem kobiety jest wydawać na świat dzieci służące Bogu. Rzecz jasna, takie same odczucia wzbudziłaby w nim świadomość, że chodziła do świeckiej szkoły, zrobiła doktorat z archeologii i od dziesięciu lat udowadniała, że większość biblijnych przypowieści jest całkowicie pozbawiona cudownej genezy. Gdyby nie wyrzekł się jej za to, że jako nastolatka uciekła z osady religijnej, przekląłby ją teraz. Erin już się z tym pogodziła.

Przed paroma miesiącami dane jej było wejrzeć w tajemną historię świata, której nie wyjaśniały książki ani nauka stanowiąca fundament jej przekonań. Po raz pierwszy zetknęła się z sangwinistą, żywym dowodem świadczącym o istnieniu potworów i o tym, że można je okiełznać tylko przez poświęcenie się Kościołowi.

Mimo to w dużej mierze pozostała sceptykiem i nadal we wszystko wątpiła. Przyjęła do wiadomości istnienie *strigoi*, ale dopiero po tym, jak spotkała się z jednym oko w oko, zobaczyła jego zjadłość i dotknęła ostrych kłów. Wiarę dawała jedynie temu, co mogła osobiście zweryfikować, i właśnie dlatego nalegała na realizację planu.

Margaret odgarnęła włosy i związała je na karku, tak jak zwykle robiła to Erin. Pod habit włożyła jej stare džinsy i białą koszulę. Z daleka można było wziąć ją za Erin.

Oby tak się stało.

Odwróciły głowy w stronę Christiana. Ksiądz uniósł kciuk, a potem nachylił się do archeolożki.

– Grozi ci prawdziwe niebezpieczeństwo – szepnął. – Wejście tam jest zakazane. Jeśli cię przydybią...